

**PISMO TYGODNIOWE.**Numer pojedynczy. . Mk. **1.50**W Małop. i b. okup. austr. K. **2.50**

Kwartalnie Mk. 15.—

W Małop. i b. okup. austr. K. 25.—

Za granicą kwart. Mk. 20.—

Wiersz inseratowy. . Mk. 2.—

Zmiana adresu 50 fen.

REDAKCJA I ADMINISTRACJA:

Warszawa, Al. Jerozol. 21, m. 18.

Telefon 78-86.

Konto czekowe: 553.

Rękopisów nie zwraca się.

Morze polskie.

Dnia 10 lutego 1920 roku wojska polskie stanęły nad Bałtykiem. W imieniu państwa objęły w posiadanie pobrzeże morskie, które przypadło Polsce na mocy traktatu pokojowego.

Aczkolwiek tenże traktat określa, wprawdzie dość niejasno, warunki na jakich mamy pozyskać Gdańsk, symboliczny obrzęd zaślubin Polski z morzem odbył się — w Pucku, małej, nędznej rybackiej miejscinie nad zatoką tegoż imienia.

W Pucku, będącym ledwie portem rybackim, ale o którym nawet marzyć niepodobna, aby był portem państwa polskiego.

Smutna rzeczywistość, która powinna wzbudzić energiczny reatyw, aby nie stała się koniecznością.

Państwo polskie z natury swych warunków geograficzno-politycznych musi mieć dostęp do morza. Tym morzem jest Bałtyk, na co wskazuje kierunek biegu rzek polskich, przede wszystkim Wisły.

Wodne linie transportowe zakończone portem morskim, to warunek nieodzowny intensywnego rozwoju gospodarczego. Ale posiadać dostęp do morza, to nie znaczy jeszcze posiadać port morski. A tak się właśnie stało, że objawwszy brzeg morski, jesteśmy pozbawieni portu i to jedyne go portu polskiego — Gdańska.

Jedyne go, bo kto umie myśleć realnie, wie, że pomysły budowy drugiego portu w Pucku, bądź gdzieindziej należą do kategorii utopji. I to utopji o tyle szkodliwych, że mącą opinię, odwołując uwagę społeczeństwa od — życia.

Polska bez Gdańska skazana jest nie tylko na anemję, ale i na zupełny zastój gospodarczy. To samo da się powiedzieć i o Gdańsku, który, bez zadzierzgnięcia naturalnych gospodarczych i politycznych węzłów z Polską, pozostanie co najwyżej angielską stacją strategiczną. A wiemy, że podobne stacje, jak Gibraltar i Malta, zatrzymały się w swym rozwoju, służąc specjalnym celom obcego mocarstwa.

Warunki geopolityczne Polski są takie, że Gdańsk może kwitnąć i rozwijać się w łączności z rozwojem Polski.

Na zasadzie traktatu pokojowego otrzymaliśmy dostęp do morza. Ale dostęp do morza nie powinien być bylejakim dostępem, godzącym w najżywotniejsze interesy narodu.

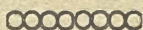
O tym pamiętać musi rząd i społeczeństwo.

Należy tedy rozwinąć najenergiczniejszą akcję wszelkimi dostępnymi nam środkami pokojowymi, by Gdańsk stał się polskim portem. Od tego bowiem czy Gdańsk będzie przypadał nam całkowicie, bez zastrzeżeń, zależy nasz dobrobyt gospodarczy. A rozwój kraju ekonomiczny, to zarazem jego rozwój polityczny i społeczny. To wzniesienie się Polski na wyższy szczebel cywilizacji.

Kto to rozumie, zdaje sobie sprawę, że w kwestji przynależności Gdańska do Polski, jedną z najbardziej zainteresowanych jest klasa pracującą.

Istnieją pewne geopolityczne warunki dla każdego kraju, które sięgają wgląd najistotniejszych spraw społecznych i nawet kulturalnych. Tak jak warunkiem życia i rozwoju Rosji carskiej lub bolszewickiej jest jej do morza dostęp, jak również niezależny socjalista niemiecki jest zainteresowany w tym czy Hamburg

i Brema będą portami niemieckimi, bo to przesądza wprost przyszłość kraju, tak również w interesie polskiej klasy pracującej jest, by Gdańsk, jedyny port polski na Bałtyku należał do nas bez zastrzeżeń, co, oczywiście, bynajmniej nie przesądza obywatelskich wolności gdańszczan.



Jak powstrzymać spadek marki?

I.

Północne poglądy społeczeństwa polskiego na sprawy pieniężne roją się od przesądów i nieścisłości. Rzadko nawet w prasie, nawet w mowach ministrów skarbu, spotkać można zdania, ujmujące trafnie te palące zagadnienia naszego życia gospodarczego.

Są tacy, którzy, dziwią się, dlaczego marka polska tak gwałtownie spada. Przecież, jakkolwiek nie jest ona pokryta złotem, to jednak opiera się na niewyczerpanych bogactwach kraju, na zapasach surowców, na pracy polskiej. Naprawdę jednak pytalibyśmy się owych teoretyków, jak oni sobie wyobrażają ów stosunek wartości pieniądza do naturalnych bogactw kraju. Odpowiedzi na to nie otrzymalibyśmy napewno, ponieważ odpowiedzi takiej być nie może. Już choćby elementarne, szkolne wiadomości o historii walut, powinny pouczyć powyższych uczonych, że dwa te zjawiska: bogactwo naturalne kraju i wartość pieniądza (papierowego) nie mają z sobą nic wspólnego. Pieniądz nie jest papierem wartościowym, nie jest wekslem na jakąkolwiek określoną wartość, a tymbardziej przekazem na naturalne bogactwa kraju i dlatego jego wartość jest całkowicie od tych bogactw niezależna.

Dziwią się inni spadkowi marki, wskazując na małą stosunkowo ilość obiegających banknotów: wszystkiego jakieś sześć miliardów marek. Pan minister skarbu nadał nawet owiemu zdziwieniu wyraz oficjalny, przemawiając w sprawie waluty w Sejmie. Minister skarbu uważa za główny powód spadku marki spekulację, nie zaś zwiększenie tak według niego minimalne, ilości obiegających banknotów.

Sądzić jednak należy, że powyższy sposób rozumowania jest już zanadto uproszczony. Aby ocenić, czy banknotów jest w obiegu mało, czy dużo, należałoby przedewszystkiem uwzględnić, ile razy ich ilość wzrosła w stosunku do przedwojennej; przekonalibyśmy się, że, o ile w takiej Francji ilość obiegających banknotów zwięk-

szyla się 6 razy, we Włoszech 7,6 razy, w Szwajcarii o 3,4 razy, to przypuszczać można, że u nas ilość banknotów w stosunku do przedwojennej, wzrosła 12—15 razy. Przed wojną obiegalo na terenie Królestwa 200—250 milionów rubli, dziś około 6 miliardów marek, oraz kilka milionów koron. Że koron nie można nie uwzględniać, o tem przekonamy się nieco dalej, opisując mechanizm spadku wartości pieniądza. A nadto oceniałac wpływ ilości pieniądza na ich siłę nabywczą, trzeba by jeszcze zwrócić uwagę na rozmiary zapotrzebowania pieniądza w danym gospodarstwie społecznym. We Francji np. potrzebna jest względnie większa ilość banknotów dla celów wymiennych, niż u nas, ponieważ tam natężenie wymiany, suma aktów wymiennych, jest większa, niż w Polsce*). Słowem, absolutna ilość banknotów, obiegających w danym kraju, nie jeszcze nie mówi o tem, w jakim stopniu pieniądza tego jest za dużo.

Spekulacja zaś, o której mówi p. Grabski, jest wyrazem, który nic nie wyjaśnia. Za pomocą „spekulacji“ możemy wszystko wytłumaczyć i nic nie wytłumaczymy. Dlaczego przed wojną w takiej np. Austrii, gdzie pieniądze papierowe nie były wymienialne na złoto, mimo to kurs koron był normalny i spekulacja giełdowa nie tam nie miała do powiedzenia. Spekulacja jest zawsze tylko wyrazem określonych procesów, obiektywnie danych. Może ona spowodować pewne drobne wahania waluty — z dnia na dzień, ale ostateczne granice tych wahań są wyznaczone przez procesy ekonomiczne, od spekulacji niezależnie.

Jaka jest odpowiedź na pytanie, dlaczego wartość pieniądza w naszym kraju tak bezprzykładnie spadła? Spadek ten jest bowiem bezprzykładny, jeżeli nie będziemy brali dla porównania Rosji, lub w pewnej mierze Austrii. Odpowiedź na powyższe pytanie brzmi: Oto dlatego, że prowadzimy wojnę dłużej, niż inne państwa, a przytem prowadzimy ją w nieszczęsnych, fatalnych warunkach ekonomicznych i administracyjnych.

Zapytałby kto, co znaczy, że prowadzimy wojnę dłużej, niż inne państwa, przecież trwa ona właściwie dopiero od roku? Niestety! Wojna w Polsce trwa od lipca 1914 roku i od tego czasu wywiera fatalny wpływ na nasze życie ekonomiczne. I kiedy państwa zachodnio-europejskie zakończyły działania wojenne już przeszło rok temu, i od roku mają możność pracy nad drozdzeniem swych stosunków ekonomicznych, my, od tej właśnie daty poczynając, spotęgowaliśmy do ostatecznych granic działanie wojny. Rok temu frank kosztował w Polsce 1,75 mk., a koszty życia były kilkakrotnie niższe, niż obecnie. Dziś frank kosztuje 12 mk., a życie ekonomiczne znajduje się w stanie chaosu.

*) Należałoby tu jeszcze, przynajmniej, uwzględnić czynnik szybkości obrotu pieniądza, ale to zasadniczo istoty przykładów nie zmienia.

Ustawiczny spadek siły nabywczej pieniądza, nieustanny wzrost kursów walut obcych, to niewątpliwie oznaki ciężkiej choroby organizmu gospodarczego naszego kraju. Na tle upadku wartości pieniądza odbywa się niepowstrzymany proces przewrótowania społecznego: pewne grupy społeczne wznoszą się na wyżyny bogactwa i zamożności, inne spadają poniżej swego poziomu, inne staczają się w przepaść nędzy. Są liczne warstwy społeczne, które tuczą się nędzą gospodarczą kraju. Te warstwy żyją, jak nigdy, rozszerzając swoje majątki i zwiększając spożycie. Ich nieruchome bogactwo — domy, ziemia, rośnie z godziny na godzinę; ich dochody rozszerzają się dowolnie, jak za dotknięciem różdżki czarodziejskiej. Ci, którzy sprzedają swoją siłę roboczą i znajdują na nią popyt, zmian żadnych w swej zamożności nie odczuwają. Natomiast inteligencja, nauczycielstwo, urzędnicy itp. giną z głodu. Stoczyli się oni poniżej poziomu swej klasy. Ponieważ zaś przemysł nie może być uniehmiony, setki tysięcy pozbawionych pracy stało się żebrakami. Wydatki państwa rosną, jak lawina. Podatki jednak pozostają niemal te same, jak przed wojną, zwyczajne wpływy państwowe są znikome.

Mamy jednak w kraju pozory zamożności. Nigdy jeszcze kupcy, kramarze, rzemieślnicy nie mieli tyle gotówki, jak dziś. Nigdy tak dobrze jak dziś nie odżywiali się, nie odziewali, nie bawili. Teatry, kabarety — pełne. Popyt na przedmioty zbytku niebywały.

Majątek narodowy w markach wyrażony, powiększył się dziesiątki, setki razy. Obiekty majątkowe warte przed wojną dziesiątki tysięcy rubli, warte są dziś setki milionów.

Jednostki pobogaciły się rzeczywiście, majątek narodowy zwiększył się pozornie, zamożność kraju skurczyła się, zmalała.

Bogactwo dzisiejsze polega na niszczeniu dóbr, na spożyciu, a nie na produkcji. **Dochody i majątki** potęgują się w sposób niebywały, ale **kapitał społeczny** stoi w miejscu, mniejszy niż kiedykolwiek, niezdolny do ekspansji, zmartwiały. Siła spożywcza licznych warstw narodu wzrosła, lecz siła twórcza — zmalała. Oto dżagnoza choroby. Ognisko tej ciężkiej choroby leży w obiegu pieniężnym, przyczyna, to wojna.

Gdzie leży ratunek, jak uzdrowić chory organizm gospodarczy Polski? Oto pytania, które zajmują wszystkie umysły.

O środkach lekarskich mówi się wiele. Stańczyk twierdził, że najwięcej jest u nas lekarzy. Można by rzec, że mamy równie wielką liczbę lekarzy waluty. Czy jednak nie przeważają między nimi znachorzy raczej?

Nie będziemy mówili o cudownych kuglarzach, którzy chcą oprzeć walutę polską na bogactwie krajowym, na wywozie drzewa, nafty, i t. p., weźmiemy pod uwagę jedynie te środki, jakie zalecają ludzie poważni: ministrowie skarbu, znakomici teoretycy monetarni.

Zanim atoli przejdziemy do omawiania przepisanych recept, musimy rozpatrzyć zjawisko podstawowe: Czem jest pieniądz i jaki jest mechanizm spadku wartości pieniądza. Bez rozważenia teoretycznej strony zagadnienia niepodobna mówić o środkach zaradczych. Czem jest pieniądz?

Pieniądz jest powszechnym przekazem na towary. Każda jednostka pieniądza posiada w sobie siłę nabycia pewnej nieokreślonej ilości towarów. W czasach normalnych poszczególne podmioty gospodarcze otrzymywały w formie dochodu do rąk swych pieniądz za sprzedane usługi produkcyjne lub towary. Każda jednostka pieniądza, którą otrzymaliśmy, jako dochód, była wyrazem dokonanego aktu wymiany towarów. Pieniądz nie stawał się składnikiem niczyjego dochodu, o ile ten ktoś nie sprzedał bądź towaru, bądź innej usługi produkcyjnej. Pieniądz był tylko cieniem towarów. W gospodarstwie społecznym właściwie wymieniano towary na towary, usługi produkcyjne za usługi. Nikt nie mógł nabyć towaru, o ile już jakiegoś innego towaru nie sprzedał. Wyrażona w dochodzie pieniężnym siła nabywcza poszczególnych podmiotów gospodarczych była wyrażeniem produkcyjnej działalności ekonomicznej, wypływała z przychodów, jakie ich gospodarstwo dawało. Przyczem, każda jednostka wydanego na cele konsumpcyjne dochodu, wywoływała zawsze odpowiedni akt produkcji. Spożycie i produkcja równoważyły się niejako. Dochody wydane na cele spożycia nie mogły być większe, niż przychody, płynące z produkcji i odwrotnie. Można by tu zastosować ten obraz równowagi ekonomicznej, jaki dał Walras w „*Elements d'économie pure*“. Wyobraźmy sobie, mówi Walras, całe społeczeństwo w jakiejś wielkiej sali. Z jednej strony mamy tych, którzy kupują t. zw. usługi produkcyjne i wyznaczają w ten sposób dochody ich właścicieli, z drugiej strony właściciele usług produkcyjnych, nabywają dobra spożycia czyli produkty. Jest widoczne, że całkowita cena usług produkcyjnych z jednej strony i całkowita cena produktów — z innej, muszą być matematycznie równe. Nikt bowiem nie może dowolnie zwiększać swej siły nabywczej, każdy ma tylko taki dochód, jaki otrzymał za swe usługi produkcyjne. Nikt również nie może nabyć więcej usług produkcyjnych, niż mu na to pozwala jego dochód, otrzymany za sprzedane produkty. Oczywiście, każdy jest zarazem sprzedawcą usług produkcyjnych (urodzajności ziemi, produkcyjności kapitału, siły roboczej, usług wolnych zawodów), oraz — nabywcą produktów.

Zobaczmy teraz, jak się tworzy siła nabywcza największego nabywcy produktów bezpośredniego spożycia państwa. W czasach normalnych dochody państwowe mieszczą się doskonale w ramach „*tablicy ekonomicznej*“ Walrasa. Państwo wprawdzie samo mało produkuje, ale w postaci podatków, opłat i t. p. wpływów skarbowych, państwo na swe potrzeby konsumpcyjne przejmuje już w wy-

niku procesów ekonomicznych istniejącą siłę nabywczą swych obywateli, konfiskując część ich dochodów. Ogólny obraz gospodarstwa społecznego nie zmienia się wcale. Część dochodów, osób prywatnych, jakie wytworzyły się w procesie ekonomicznym, wydaje państwo. Ogólna suma popytu i podaży nie ulega żadnej zmianie, wskutek czego ogólny poziom cen wszystkich towarów pozostaje ten sam, gdyż ogólna suma dochodów, wyrażająca się w całkowitym popycie, pozostała jednakowa. A zatem i siła nabywczą pieniądza, czyli jego wartości, zmniejszyć się ani zwiększyć nie może.

Zjawisko to zmienia się podczas wojny.

Zmieniło się ono szczególnie u nas.

Powstało nowe państwo, bez organizacji skarbowej, a jeśli chodzi o Królestwo, ze złym systemem skarbowym, o zrujnowanym organizmie gospodarczym, państwo, które nie mając początkowo niemal żadnych dochodów normalnych, miało olbrzymie wydatki na organizację wewnętrzną, na wojnę.

Państwo to wykazało ogromne zapotrzebowanie na środki płatnicze, aby mieć możność zaspokojenia lawinowo wzrastających potrzeb. Przez dłuższy czas nie miało ono z powodu bojkotu kontrybucyjników niemal żadnych dochodów. Ale nawet potem, kiedy bojkot się skończył, nizki stopień moralności podatkowej, wady organizacji skarbowej, nadmiar potrzeb, sprawiły, że trzeba było **drukować** pieniądze bez żadnych ograniczeń, bez względu na potrzebę gospodarstwa społecznego, jedynie, aby zdobyć dochód dla skarbu, aby mieć czem płacić. W ten sposób wytworzyła się w rękach państwa ogromna siła nabywczą, stworzona z niczego, siła nabywczą sztuczna. Nie z przychodów gospodarstwa wypływały te miljardy marek polskich, nie z pracy produkcyjnej, lecz zjawily się one na rynku dóbr dowolnie, z zewnątrz. **W przeciągu roku suma obiegających marek polskich zwiększyła się sześć razy.**

Wydrukowane u Wierzbickiego miljardy oraz miljardy pożyczki wewnętrznej utonęły na rynku towarów. Oprócz pewnych sum na normalne wydatki, jak opłacanie urzędników i t. p., reszta została przetworzona na towar: odzież dla armji, broń, amunicję, wozы, konie, mięso, zboże, mąkę, skóry, buty. Państwo jest dziś największym odbiorcą towarów. Armja potrzebuje miesięcznie 25,000 świń i 120,000 sztuk bydła rogatego; 1/4 ogólnej produkcji zboża i paszy idzie na potrzeby armji; cały niemal przemysł włókienniczy pracuje dla wojska, trzy czwarte produkcji przemysłu garbarskiego zabiera Urząd Zaopatrywania armji; przemysł metalowy wytwarza niemal wyłącznie amunicję.

Przy tych zapasach państwowych cena nie gra roli. Towar dla armji jest konieczny, zdobyć go należy po każdej cenie. Wyznaczone w Warszawie maksymalne ceny na mięso nie mogły się utrzymać, dostawcy mięsa zbojkotowali rynek warszawski, ponieważ agen-

ci wojskowi płacili ceny znacznie wyższe. Armja musi być dobrze odżywiana. Zasada oszczędności w wojennej gospodarce aprowizacyjnej nie gra roli. Oficerowie i ich rodziny otrzymują tak wielkie deputaty żywnościowe, że bądź towar magazynują, bądź sprzedają spekulantom.

Olbrzymie zapasy najprzeróżniejszych towarów znikają z rynku. Odbywa się proces nadmiernego spożycia towarów, przyczem proces produkcji w tym samym tempie iść nie może. Konsumcja państwowo - wojenna jest, z punktu widzenia gospodarczego, bezpłodna, niszczyielska. Potężne zapasy dóbr ulegają bezpowrotnemu zniszczeniu, nie zapładniając procesu produkcji. Żołnierz, jako człowiek cywilny, jedynie wtedy miał możliwość nabycia towaru, jeżeli przedtem sprzedawał swą pracę, swój towar. Dziś żołnierz konsumuje dobra, ale nie produkuje, oprócz — trupów. Fabryki metalowe wytwarzały dawniej maszyny, które służyły do rozszerzania produkcji, dziś fabryki te produkują broń i amunicję. Nie licząc się z ceną zapotrzebowanie państwa wytwarza brak towarów z jednej strony, drożyznę z drugiej.

Atoli równocześnie mamy inne zjawisko. Ci wszyscy, którzy dostarczają na potrzeby armji — producenci, pośrednicy, agenci — wyprzedając po nadmiernych cenach zapasy swych towarów, lub pośrednicząc przy wyprzedaży osiągają z tych transakcji ogromne, nie normalne dochody w papierowych markach polskich. Ich siła płatnicza rośnie, przyczem te wojenne obfite dochody nie są kapitalizowane, nie zakłada się za nie nowych przedsiębiorstw, nie kupuje maszyn, lecz w większości wypadków, przeznaczają na zakup artykułów spożycia bezpośredniego: przedmiotów zbytku, odzieży, żywności. To wszystko, oczywiście, z nieuniknioną koniecznością zmniejsza zapasy rynkowe, pędzi do góry ceny.

Jeżelibyśmy dodali jeszcze zyski spekulacyjne, płynące z ustawicznych zmian waluty, oraz spekulacyjnego handlu towarami, rolników, to otrzymamy dokładną listę tych warstw społecznych, których dochody nadmiernie wzrosły i, które, nabywając olbrzymie ilości artykułów spożycia bezpośredniego, gotowe są płacić za nie wszelkie niemal ceny. Z tych ognisk drożyzna przenosi się na całe społeczeństwo.

Oto proces upadku siły nabywczej pieniądza, oto istotna, decydująca przyczyna tego spadku. Zapewne: brak towarów, maszyn, surowców i t. p. wpływa również na wzrost cen. Ale te źródła drożyzny mają znaczenie dodatkowe, częściowe: potężny strumień drożyzny płynie stąd, że wojna wytworzyła ogromne, nadmierne spożycie towarów, spożycie, które nie jest rezultatem uprzedniej produkcji.

Jaką rolę gra w tym procesie taka lub inna ilość banknotów? Banknoty są tylko przejawem, wyrazem określonych procesów eko-

onomicznych, nie grają roli samolistnej. Mówi się, że to tak zw. inflacja, przepelnienie kanałów obiegu pieniężnego, wywołuje spadek siły nabywczej pieniądza. Jest to w zasadzie słuszne, ale zwykle ludzie wyobrażają sobie ów wpływ ilości pieniądza na jego wartość w jakiś cudowny, niezrozumiały sposób, jak działanie *deus ex machina*.

Wyobraźmy sobie, że u nas, poczynając od pewnej daty, wszelkie znaki obiegowe zostały wycofane z obiegu, a wprowadzono jakiś olbrzymi system rozrachunkowy (Clearing). Wszelkie wypłaty odbywają się w formie odpowiednich zapisów w księgach buchalteryjnych. Każdy otrzymuje swój dochód nie w banknotach, lecz zapisuje mu się odpowiednie sumy na jego dobro. Państwo również, aby zaspokoić swoje potrzeby, nie drukuje nowych marek, lecz urzędnikom, dostawcom i t. p. wypłaca w formie zapisów buchalteryjnych. Otóż, *ceteris paribus*, jeżeli wszystkie zjawiska ekonomiczne, o których była mowa wyżej, pozostaną bez zmiany, wytwarzanie sztucznej siły nabywczej i nadmiaru, nieprodukcyjna konsumpcja towarów będzie trwała nadal, to proces deprecjacji zasadniczej jednostki wymiennej — marki, odbywać się musi nieuniknienie bez przerwy.

Aby jeszcze wyraźniej oświecić nasze zagadnienia teoretyczne, skonstruujemy taki przykład:

Spółceństwo pewne liczy pięć osób, z których każda jest zarazem producentem i konsumentem. Przypuśćmy, że w danym okresie gospodarczym każdy członek tego społeczeństwa wytwarza towarów wartości 100 dni pracy, przyczem cena jednego dnia pracy równa się jednej marce polskiej. Każdy, sprzedając produkt swej pracy, otrzymuje w zamian 100 marek, które stanowią jego dochód. Powiedzmy, że cały dochód wydaje się na środki spożycia. Jeżeli wymiana między owymi pięcioma członkami społeczeństwa odbywa się jeden raz w końcu okresu gospodarczego, czyli szybkość obrotu pieniądza = 1, to w takim razie, aby wszystkie wymiany mogły być dokonane, potrzeba jest dla obiegu 500 marek, po 100 marek na głowę. Przypuśćmy teraz, że jeden z członków owego społeczeństwa dowiedział się przypadkiem o adresie drukarni Wierzbickiego i kazał sobie wydrukować dodatkowe 100 marek. Na najbliższy jarmark osobnik ten przychodzi z 200 markami dochodu i za całą sumę chce nabyć towarów. Wtedy popyt na towary zwiększy się, jakkolwiek ogólna suma towarów pozostała ta sama. Stąd jasne, że cena jednostki towaru musi iść w górę, siła nabywcza każdej poszczególnej marki spadnie.

Przykład powyższy ilustruje rzeczywisty przebieg rzeczy w sposób ogromnie stylizowany, ale dokładnie wyjaśnia on nam rolę tak zw. inflacji, czyli nadmiernej ilości pieniędzy. Dlaczego wartość pieniądza spada? Nie dlatego, że w obiegu znajduje się absolutnie za-

dużo pieniędzy, lecz że pewna wielka ilość pieniędzy została do obiegu sztucznie wprowadzona.

Przykład ten doskonale również oświecla znaczenie tak zw. pokrycia banknotów, oraz materiału, z którego bije się pieniądź. Ani materiał ani pokrycie niema istotnego znaczenia dla poznania roli pieniądza. Natomiast praktyczne znaczenie materiału i pokrycia jest olbrzymie. Odpowiedni materiał i odpowiednie przepisy o pokryciu tamują proces dowolnego, sztucznego zwiększania siły nabywczej. A przytem moneta ze złota ma zawsze wartość samego materiału, zaś wymienialność na złoto utrzymuje wartość banknotu w granicach wartości złota. Stąd ogromne znaczenie waluty złotej oraz pokrycia złotem banknotów. Pieniądź, aby spełniać wszystkie swe funkcje, może być z materiału dowolnego, ale pieniądź o wartości możliwie stałej, pieniądź praktycznie najbardziej idealny, to tylko pieniądź złoty lub oparty na złocie.

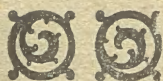
Choć jest rzeczą samo przez się zrozumiałą, że gdyby w Polsce dotychczasowe dochody poszczególnych jednostek i państwa (*ceteris paribus!*) jakimś cudownym sposobem wyraziły się nie w markach papierowych, lecz w markach złotych, to, przypuściwszy państwo izolowane, wartość tej marki złotej równałaby się dzisiejszej wartości marki papierowej, ani o feniga nie byłaby od niej wyższa.

Jasne bowiem, że gdy we wspomnianym wyżej fikcyjnym społeczeństwie jako pośredniki wymiany obiegał pieniądź złoty, a ów sprytny osobnik, zamiast drukować marki odkrył by przypadkowo kopalnię złota, lub znalazł z nieba spadłe 100 marek złotych, istota procesu deprecjacji pieniądza nie uległaby żadnej zmianie.

Inflacja może się wyrazić zarówno w złocie jak i w papierze. Jakkolwiek praktyczne znaczenie posiada jedynie inflacja papierowa, gdyż niema możliwości sztucznego zwiększania siły nabywczej wyrażonej w złocie w tak olbrzymich rozmiarach, jak ma się to z papierem.

Powyższe teoretyczne rozważania są konieczne dla wszelkiej poważnej dyskusji walutowej. Wobec banalności i naiwności teorii pieniądza podawanych dziś codziennie, uważamy takie oczyszczenie pola, zanim przejdziemy do zagadnień praktycznych, za konieczne.

Edward Lipiński.



Amerykanin o polityce niemieckiej

W Nr. 3 (15) daliśmy czytelnikom „Trybuny“ kilka interesujących szczegółów z pamiętników Gerarda. Obecnie zatrzymamy się nad nimi nieco dłużej, poszukując momentów, które rzucają światło nie tylko na niemiecką, lecz i na amerykańską politykę.

W ustroju niemieckim pod hegemonją Prus, Gerard widzi panowanie kasty militarnej, która w znacznej mierze przeciwstawia się dążeniom świata nowożytnego. W roku poprzedzającym wojnę, prowokujące postępowanie oficerów wywołało w miasteczku Saverne w prowincji zabranej zaburzenia wśród ludności miejscowej. Zaburzenia te, będące protestem przeciw brutalności i samowoli oficerskiej, głośnem echem odbiły się w całych Niemczech, pozostawiając pewien antymilitarystyczny ferment. Tym objawom i manifestacjom, ujętym pod ogólną nazwę „sprawy Saverne“ Gerard przypisuje ogromne znaczenie; one to według niego przestrzegały panującą kastę militarną i przyczyniły się do wywołania wojny. Zagrożona kasta wzorem w historii nie nowym zamierzała przez tryumfy zewnętrzne wzmocnić w kraju swą pozycję wewnętrzną.

Pogląd powyższy jest zgodny z oficjalną wersją ententy, według której Niemcy dążyły świadomie do wojny europejskiej; w świetle wielu ujawnionych dokumentów domaga się on pewnych zastrzeżeń lub przynajmniej ściślejszego sformułowania*).

Tak czy owak, wojna stała się faktem. Jeszcze w ostatniej chwili, w krytycznym dniu 31 sierpnia Gerard zwraca się do kanclerza niemieckiego z następującym liścikiem:

„Wasza Ekscelencjo. Czy mój kraj może coś zrobić? Czy mogę zrobić próby zapobieżenia tej straszliwej wojnie? Jestem pewien, że prezydent zaaprobuje każdą inicjatywę, podjętą przezemnie w interesie pokoju. James Gerard“.

List pozostał bez odpowiedzi. Dopiero w dziesięć dni po wybuchu wojny cesarz Wilhelm wystosował swe niefortunne memorandum, w którym mimowoli stwierdził kłamliwość wersji niemieckiej o rozpoczęciu kroków zaczepnych przez lotników francuskich, oraz przyznał się, iż liczył na neutralność Anglii.

W Stanach Zjednoczonych oddawna podejrzewano Niemców o agresywne zamiary względem południowej lub środkowej Ameryki, o chęć pogwałcenia doktryny Monroe. W swych pamiętnikach Ge-

*) Z dokumentów wiedeńskich widać, że cesarz Wilhelm liczył na nieprzygotowanie Rosji i razem z ministrami Franciszka Józefa mniemał, że rozprawa z Serbją przejdzie gładko i nie wywoła ogólnej wojny.

Gerard kilkakrotnie zaznacza, że gdyby Niemcy pomyślnie dla siebie ukończyli wojnę w Europie, prawdopodobnie pokusiliby się o jakiś krok agresywny w środkowej lub południowej Ameryce, dokąd Unji trudno byłoby wysłać dostateczną siłę. W powyższych obawach, podsycanych przez niedorzeczne groźby niemieckie mamy jeden z potężnych motywów, które pchnęły Unję do interwencji. Wątpić wszakże należy, czy byłby on wystarczający. Inspirowana prasa niemiecka od pierwszych miesięcy wojny przedstawiała Amerykę w roli ukrytej sojuszniczki ententy, w roli dostarczycielki materiału wojennego. Tymczasem w tych wersjach było bardzo wiele przesady. Według Gerarda aż do roku 1916-go udział Ameryki w uzbrojeniach ententy był zgoła niewielki. Prezydent Wilson uznawał nielegalność blokady angielskiej i nawet zamierzał żądać pewnego jej złagodzenia. Zamiary te wszakże nie doszły do skutku, gdyż groźby i prowokacje Niemców, jak również wieści o ich gwałtach na terenach okupowanych wpływały coraz niekorzystniej na opinię amerykańską i na rząd waszyngtoński. Na obcesowe żądania figur rządowych, które domagały się od Stanów jednakiej postawy wobec blokady angielskiej i wojny podwodnej, Gerard odpowiadał: Gdy do domu mego wpadają napastnicy i jeden z nich trąci kłomby z kwiatami, a drugi chce zabić siostrę, rzucam się na tego drugiego...

Niemcy zgoła niedoceniali Ameryki. Kanclerz wyraził się do Gerarda, że wojna pomiędzy ich państwami byłaby „śmieszna“, oznaczając zapewne pod tem słowem fikejność. Gerard ostrzegał przed tem złudzeniem. Przypominał, że większa część najnowszych wynalazków wojennych, jak pancerniki i łodzie podwodne, jak wojna okopowa i inne są pochodzenia amerykańskiego. Dodawał, że w razie wojny geniusz amerykański zapewne potrafi się zdobyć na wynalazek, który mu zapewni zwycięstwo. Ten argument istotnie dał do myślenia statystom berlińskim, którzy jednak nie chcieli mu się poddawać. No tak — mówili — wierzymy, iż musicie coś wymyśleć, lecz gdzież znajdziecie ludzi do walki? Na to odpowiadał Gerard, że Stany w razie potrzeby zaprowadzą obowiązek służby wojskowej, lecz niemieccy statystyci uważali to za bluff bez znaczenia.

Gdy w maju 1916 r. Niemcy pod naciskiem Ameryki zrobiły zasadnicze ustępstwo w przedmiocie wojny podmorskiej, została utworzona droga dla pokojowej interwencji Wilsona. „Teraz mam nadzieję, że gdy tę kwestję załatwimy — powiedział kanclerz do Gerarda — wasz prezydent będzie dość wspaiałomyślny, ażeby wziąć w swe ręce dzieło pokoju“. Również Jagow życzył sobie interwencji prezydenta i nawet namawiał Gerarda, aby w tym celu udał się do Ameryki.

Istotnie ambasador jesienią 1916 r. odwiedził swą ojczyznę, lecz nie ukrywał przed sobą, że potężny prąd opinii niemieckiej, zbałamucony przez Tirpitz'a i jego stronników pcha do bezwzględ-

nej walki podwodnej. Nie wynieśli się jednak za powrotem prób pokojowych, chociaż postawa niemieckich polityków mało dawała w tym kierunku zachęty.

W styczniu 1917 roku Gerard zapytał kanclerza, czy Niemcy zgadzają się na opuszczenie Belgii.

Tak, ale z gwarancjami. Jakież są te gwarancje?

Musimy mieć twierdze Liège i Namur, odpowiedział kanclerz. Musimy mieć jeszcze załogi w innych twierdzach na całym terytorjum belgijskiem. Muszą do nas należeć koleje żelazne, jak również porty i inne środki komunikacyjne. Nie będzie wolno Belgom mieć armji, lecz nam musi być wolno trzymać znaczne siły w Belgji. Musimy mieć prawo kontroli nad handlem Belgji.

Widzę, odparł Gerard, że niewiele zostawiacie Belgom, chyba to, że król Albert będzie mógł rezydować w Brukseli z gwardją honorową.

Na to kanclerz zawołał:

Nie możemy pozwolić, ażeby Belgja była przodowym szansem Anglii.

Nie sędzę, odpowiedział Gerard, żeby naród brytański chciał, ażeby ta została przodowym szansem Niemiec, tem więcej, że Tirpitz oświadczył, iż trzeba utrzymać brzegi Flandrii dla zwaiczenia Wielkiej Brytanji i Ameryki.

Ciągnąłem dalej: A północ Francji?

Jesteśmy gotowi, odpowiedział, do opuszczenia północy Francji, lecz trzeba dokonać sprostowania granicy.

Gerard robi uwagę, że „sprostowanie“ oczywiście oznacza aneksję.

Tak więc na schyłku 1917 roku Niemcy miały możność przy pośrednictwie Wilsona ująć z ciężkich opalów obronną ręką. Ale koła rządzące, ogłupione zapewnieniami Tirpitz'a i jego stronników, wyobrażały sobie, iż mają w ręku środek, który w ciągu kilku miesięcy rzuci Anglię „na kolana“. Jakże się oprzeć podobnie olśniewającej pespektywie? Nie oparli się jej ludzie z otoczenia cesarza Wilhelma, odrzucili znakomitą sposobność zakończenia wojny, postawili przyszłość Niemiec na *va banque*!

Gdy już doszło do zerwania z Ameryką, kanclerz uskarżał się Gerardowi na słynne orędzie Wilsona, gdzie była mowa o Polsce zjednoczonej, tudzież o tem, że każdy naród powinien mieć dostęp do morza. Kanclerz utrzymywał, że Niemcy zostały zmuszone do podjęcia ostatecznych kroków, gdyż w orędziu prezydenta mieściła się zapowiedź rozezwonkowania cesarstwa, oddania Polsce zaboru pruskiego wraz z Gdańskiem.

Gerard stanowczo odrzuca to tłumaczenie. Piszze on: „Jeżeli Niemcy, jak to zawsze głosiły, ograniczały się do wojny obronnej, powinny były czuć się zadowolone, gdy stwierdziły, że prezydent o-

świadczył, iż cały wysiłek Ameryki wypada na korzyść pokoju bez zwycięstwa, pokoju takiego, który mógł uspokoić Niemcy i uwolnić je od grozy zgniecenia i rozczłonkowania, czego tak często mężowie stanu niemieccy zdawali się obawiać. Dodałem, iż jestem pewien, że gdy prezydent mówił o Polsce jednej i niepodległej, nie myślał o tym kraju, jak się mógł on przedstawiać w poszczególnym okresie swej historii, lecz o Polsce takiej, jaka była utworzona przez Niemcy i Austrię, że wreszcie mówiąc o prawie każdego narodu do ujścia na morze myślał raczej o Rosji i o Dardanelach, niż o jakimkolwiek porcie pruskim, który mógłby być zużytkowany na rzecz Polski“.

Pozatem Gerard podkreśla kłamliwość oświadczenia kanclerskiego i zapewnia, iż wie z najlepszego źródła, że rozkazy do komendantów łodzi podwodnych, wyznaczające na 1 lutego bezwzględną blokadę wysłane zostały o wiele wcześniej, niż prezydent wygłosił swoje orędzie.

Z komentarza Gerarda do owego ustępu do Polski wyciągnąć możemy dwa wnioski:

1) mocno przedwczesne były te owacje, które nazajutrz po orędziu młodzież warszawska urządziła przed konsulatem amerykańskim.

2) Pp. Tirpitz et C-nie oddali Polsce nieocenioną usługę.

Tym paradoksalnym wywodem zamknijmy nasze sprawozdanie.

M-or.



Wiara w przyszłość.

Splot wypadków, który umożliwił powstanie z martwych państwa polskiego przesłania nam czynnik, który umożliwia wszelki świadomy postęp, przyspiesza lub zwalnia jego tempo i systematycznie podtrzymywany być winien wśród społeczeństwa.

Najogólniej nazwać go można **wiarą w przyszłość**. To nie polskie, „jakoś to będzie“ beztroskie i lekkomyślne, ale zaufanie ludzi najlepszych we własne siły, oddawanie ich w służbę historii.

Rewolucyjne zmagania się, które tradycję niepodległości podtrzymywały w każdym niemal pokoleniu podejmowały zawsze odłamy społeczeństwa, **wierzące w przyszłość ojczyzny**. U boku Kościuski stają ludzie najlepsi, twórcy reformy 3-go maja, ci którzy wierzyli, iż Polska, już okrojona dwukrotnie przez państwa rozbiorowe potrafi się obronić czyhającym na nią rozbiorowym potencjom. Kościuszko, któremu wkładają w usta podyktowane rozpaczą „finis Poloniae“, słów tych nie wymówił, natomiast faktem jest, że ogłosił

manifest Polaniecki. Nie innym był cel tego manifestu, jak rozbudzenie w ludzie siemiężnym wiary, iż otwiera się przed nim w przyszłości życie wolnego człowieka.

Nie kto inny, jeno młodzież wierząca w siłę narodu i własną wywołała powstanie listopadowe, ten wielki i mający szanse powodzenia odruch wyzwolenczy, skrepowanego kajdanami niewoli narodu. Wśród przyczyn jego upadku za najważniejszą bodaj uznala historia brak wiary w powodzenie i zaufania we własne siły w tych, co jak Chłopicki stali na czele armji.

Od aktu uwłaszczenia włościan rozpoczęli przywódcy powstanie styczniowe, ufając, że rozbudzone we włościanstwie zaufanie do niepodległej Polski, stworzy z ludu niepokonane zastępy żołnierza. Wiara w przyszłość, jakkolwiek nie osobista, dawała moc ofiary i odporność wobec carskiej grozy tym zastępom rewolucjonistów, którzy w imię ojczyzny i wolności przekonani, w okresach największej reakcji targowali sumieniem społeczeństwa. Socjaliści polscy, owa przednia straż niepodległości ojczyzny, szli na śmierć i wygnanie z okiem zwróconem w daleką jutrzienkę wybawienia.

Pokolenia całe ginęły, aby przechować talizman wiary w przyszłość ojczyzny i przyszłość ludzkości. Gdy wreszcie, po latach 120 zgórą europejska wojna zachwiała w posadach państwa rozbiorcze, gdy runął pruski militarizm, rozsypało się austriackie młdo i podstępnie świecące próchno, gdy kolos lud rosyjski wyrывa z korzeniami zgnile fundamenty państwa carów, zatryumfowała wiara w tryumf sprawy polskiej, żywiona od długich lat przez jednego człowieka.

Piłsudski wierzył w konieczność dziejową odrodzenia Polski. Nietylko genjusz dalekowzroczny, ale i ta wiara niezachwiana, wytrwała, kazała mu od upadku rewolucji rosyjskiej szukać własnej drogi dla Polski. Badał sytuację międzynarodową, słyszał głuche i niezrozumiałe dla innych pomruki europejskiej burzy dziejowej, opierał na nich swoje nadzieje i plany zbudowania własnej siły bojowej. Czem bylibyśmy dzisiaj, gdyby nie ta niezachwiana wiara obecnego Naczelnika Państwa, Naczelnika garstki najofiarniejszych, którzy Mu bezwzględnie zaufali od początku wojny, a zahypnotyzowani Jego rozkazem i wolą potężną stworzyli ośrodek wojska i państwa.

Nie trzeba przeto wzorów z mniej czy więcej oddalonej przeszłości historycznej. Żywy dowód, co zdziałać może wiara w przyszłość narodu bytuje wśród nas, magicznym wpływem swoim coraz szersze ogarnia warstwy społeczeństwa — jest symbolem dzisiejszej Polski, a chce być jej wychowawcą.

Spółczeństwo nowe nie korzystało dostatecznie z tych nadzwyczajnych warunków, w jakich znalazła się Polska. Głosy puszczyków, którzy potrafiały tylko ubolewać nad kamieniami rozrzuconemi po drodze, po której kroczy młoda nasza Rzeczpospolita, zajmują więcej

uwagę ogółu, niż myśl o sposobach, jak je odwalać i drogi torować. Wiara w przyszłość narodu tał się gdzieś głęboko w sercach polskich. Czyn hamuje inercja wywołana niewątpliwie okropnemi przeżyciami tej wojny, czułościowość niewczesna roztkliwia się nad wypadkami dnia, które istotnie wiele istnień słabych w otchłań spychają, ale najbardziej staje tu na przeszkodzie samolubstwo.

Nie można dziś oddzielać bytu jednostek od procesu ewolucyjnego, który przeobraża całość społeczeństwa. Jednostka coraz ściślej związana jest z interesami swej klasy, czy grupy, z niemi wznosi się i pada. Organizacja jedynie daje możność istnienia i nie walka, ale współdziałanie staje się hasłem dnia. Zrozumienie doniosłości organizacji wzrosło niewątpliwie — dowodem tego olbrzymi, nie mający sobie równego w dziejach naszych, rozrost stowarzyszeń zawodowych, zarówno pracowniczych, jak i robotniczych. Przeważają tu jednak interesy bezpośrednie, walka o byt codzienny, a nie względy na przyszłość. Dziwić się temu nie można, a sam fakt dążenia ku tej organizacji uważać trzeba za postęp i za objaw wysoce dodatni. Przykrzej uderza niezrozumienie postępu, jaki się w tym fakcie organizacji przejawia przez inteligencję, która ten objaw za groźną dla siebie uważa siłę.

Zorganizowanie się warstw robotniczych, czy pracowniczych nie jest ostatecznym celem, tak jak ideałem nie może być, w którym silniejsze a zatem liczniejsze organizacje zwyciężą. Są to jednak dowody olbrzymiej siły i poczucia praworządności, która nasze warstwy ludowe i pracujące chronią przed katastrofą, jakiej uległa Rosja.

Skoro się wpatrzymy w przeżywany dziś proces ewolucyjny polskiego społeczeństwa, nie zniechęcenie ale otucha, nadzieje rozwikłania istniejącego chaosu ożywić nas powinny. Powiedzą mi, że to niepoprawny optymizm, który umyślnie zamyka oczy przed niebezpieczeństwem zapanowania masy nad wybitną jednostką mas pracujących fizycznie nad przedstawicielami ducha i intelektu.

Mijają jednak czasy podziału społeczeństwa na najwyższe dzieści tysięcy i szarą pracującą i służącą mu masę. Mijają bezpowrotnie. I cieszyć się nam z tego należy. Z tych mas nie tysiąca ale miliony intelektów dzielnych i czynnych, energii twórczych wyrosnąć powinny. Nie na wątych barkach dzisiejszej inteligencji, ale na ludziach, którzy się żadnej pracy nie ulękna, myśleć i działać potrafią samodzielnie, wyrasta nowa Polska, na nich dopiero trwale i na długie wieki oprzeć się będzie mogła i dorównać demokratom zachodu, a może je przewyższyć, bo więcej u nas idealizmu.

Na to jednak trzeba w sobie wyrabiać i krzepić wiarę w przyszłość.

Dr. Z. Daszyńska - Gołńska.

ZOFJA WOJNAROWSKA.

Pierścień.

II.

Witezie giną.

Za złoty pierścień, w morskie pograżony fale
miasto o złotych bramach i królewska córka...
Muskają strome brzegi wód spienionych pióra
i łaskoczą wam stopy, zazdrośni rywale.

Ci z okrętu w tonń morską skoczyli zuchwale,
innych ze skał nadbrzeżnych wali śmierć ponura...
A gdy zabłysła zorzy zachodniej purpura —
oświeciła królowę na nadmorskiej skale.

Stała w cichości wielkiej blada i samotna,
wciąż patrząca, jak morzem srebrna welna bieży...
I przybiegła fala do jej stóp stokrotna

i kwiatem pian, co w mroku dziwacznie się śnieży,
omywała jej stopki, śpiewna i rozlotna —
lecz nie przyniosła z sobą żadnego z rycerzy.

Pamiętajmy o

Plebiscycie na

G ó r n y m S ł ą s k u.

John Galsworthy.

Pierwszy i ostatni.

2.

Keith szybko postąpił naprzód i spojrzał w twarz brata i nagle pojął, że to była prawda. Nikt nie mógłby udać spojrzenia tak straszliwie zdumionych oczu, jak gdyby po raz pierwszy widziały twarz, na którą patrzyły. Serce się ścisnęło na ich widok — tylko prawdziwe nieszczęście mogło tak spoglądać.

Lecz tu nagle litość zmieniła się w gniew:

„Cóż to, na miłość boską, znaczy?”

Wyczuwało się, że zniżał głos; podszedł do drzwi, by sprawdzić czy są zamknięte. Laurence przysunął krzesło bliżej i w blasku ognia ukazała się jego szczupła postać, zniszczona twarz o wystających kościach policzkowych, ciemno - niebieskich oczach i falistych rozrzuconych włosach — twarz jednak zawsze w pewien sposób piękna. Kładąc rękę na jego chudym ramieniu, Keith rzekł:

— No Larry! — opanuj się i nie przesadzaj.

— Mówię ci, że to prawda — zabiłem człowieka.

Głośne wyznanie działało jak strumień zimnej wody. Do czego doszedł ten człowiek, jeśli mówił takie słowa! Lecz nagle Laurence wznosił ręce i ścisnął je gestem tak rozpaczliwym, że twarz Keith'a zadrżała.

— Czemuś tu przyszedł — rzekł — i czemu mówisz to mnie?

Twarz Larry'ego była rzeczywiste czasami nadziemską, takie dziwne przebiegały po niej blaski!

— Komuż miałem mówić? Przyszedłem, byś mi powiedział co mam zrobić? Oddać się w ręce władzy, czy co?

Usłyszawszy to nagle pytanie w zakresie swego zawodu, Keith poczuł bolesne szarpnięcie serca. Więc to aż tak było prawdą? Lecz bardzo spokojnie zapytał:

— Powiedz mi... jak dawno miała miejsce ta... rzecz? —

Pytanie niby łańcuchy przykuwało do rzeczywistości ciemny, niejasny, fantastyczny sen, straszliwy sen.

— Kiedy to się stało?

— Ubiegłej nocy.

W wyrazie twarzy Larry'ego było dziś — jak zresztą zawsze — coś dziecięco szczerzego. Nie miałby szczęścia w sądzie! I Keith pytał:

— Kogo? Gdzie? Opowiedz mi wszystko spokojnie od początku. Wypij tą kawę. To cię pokrzepi.

Laurence wziął niebieską filiżankę i wypił jej zawartość.

— Tak — rzekł. — To było tak, Keith. Jest jedna dziewczyna, którą znam od kilku miesięcy...

Kobieta!... Keith rzucił przez zaciśnięte zęby: — Więc?

— Jej ojciec był Polak i umarł, gdy miała lat szesnaście. Wtedy pewien mężczyzna — nazywał się Wallen — metys amerykański, mieszkający w tym samym domu, ożenił się z nią, czy też chciał to zrobić — ona jest bardzo ładna, Keith — i porzucił ją z sześciomiesięcznym dzieckiem i drugim, mającym się urodzić. Ono umarło i ona była także bliska śmierci. Potem umierała z głodu, dopóki nie wziął jej jakiś drugi. Żyła z nim dwa lata. A potem Wallen wrócił i zabrał ją do siebie. Ten brutal bił ją o byle co. I porzucił ją znów. Gdy ją spotkał, straciła właśnie starsze dziecko i wziął ją jakiś przechodzień.

Spojrzał nagle w twarz Keith'a.

— Leez nie znam kobiety bardziej słodkiej, ani bardziej szczerzej, przysięgam. Kobieta! Ona ma dopiero dwadzieścia lat. Gdy przyszedłem do niej wczoraj wieczorem, ten brutal — ten Wallen — odnalazł ją znów; gdy stał przedemną, hardy i udający odważnego — spójrż, dotknął ciemnej plamy na czole, — chwyciłem go za gardło, a gdy puścił — — —

— To?

— Nieżył. Dopiero później dowiedziałem się, że ona uwiesiła się jego ramion z tyłu.

Uczynił znów ten sam ruch zaciskających się rąk.

Keith zapytał surowo:

— Coście potem zrobili?

— Siedzieliśmy przy... przytem dosyć długo. Potem zaniosłem na plecach przez ulicę, za róg, do arkady.

— Jak daleko?

— Około pięćdziesięciu jardów.

— Czy nikt — nikt nie widział?

— Nie.

— O której to było godzinie?

— O trzeciej.

— A potem?

— Wróciłem do niej.

— Poco — na miłość boską?

— Była śliczna i bała się. Ja także, Keith.

— Gdzie to jest?

— Ulica Borrow, czterdzieści dwa, Soho.

— Arkada?

— Róg Glove Lane.

— Wielki Boże! — wszak czytałem o tem w gazetach.

I chwyciwszy dziennik, leżący na biurku, Keith odczytał wiadomość: „Dziesiętęgo ranka zostało znalezione pod jedną z arkad

w Glove Lane, Soho, ciało mężczyzny. Ślady na szyi każą przypuszczać, że zostało popełnione okropne morderstwo. Najwidoczniej trup został obrabowany. Przy ciele nie znaleziono żadnych dowodów, stwierdzających tożsamość“.

To była prawda. Morderca! Jego własny brat! Odwrócił się i rzekł:

— Przeczytałeś to w gazecie i śniło ci się. Zrozumiej, to ci się śniło.

Usłyszał z troską odpowiedź:

— Gdybyż to tak było, Keith, gdybyż to tak było...

Chodząc w koło, Keith bardzo silnie ścisnął ręce.

— Czyś wziął co z — — — ciała?

— To wypadło, gdyśmy się szamotali.

Była to pusta koperta z marką południowo amerykańską i adresem: „Patrick Wallen, hotel Simonsa, ulica Farrier, Londyn“. Znów czując bolesne szarpnięcie serca, Keith rzekł:

— Wrzucić to w ogień.

Nagle zatrzymał się, by ją wyciągnąć. Przez to rozporządzenie stał się równym temu — temu. — Lecz nie wyciągnął. Koperta zczerniała, skrzyła się i znikła. Rzekł wreszcie:

— Czemu na litość boską przyszedłeś i mówisz to mnie?

— Ty się znasz na takich rzeczach. Ja go nie chciałem zabić. Kocham dziewczynę. Co ja mam zrobić, Keith?

Proste! Jakież proste! Pytać się, co ma zrobić. To było podobne do Larry'ego! Powiedział:

— Myślisz, że cię nikt nie widział?

— To jest ciemna ulica. Nikogo nie było.

— Kiedyś wyszedł od tej dziewczyny po raz drugi?

— Koło siódmej.

— Gdzieś poszedł?

— Do domu.

— Na ulicę Fitzroy?

— Tak?

— Nikt nie widział jak wchodziłeś?

— Nie.

— Cóżże potem robił?

— Byłem w domu?

— Nie wychodziłeś?

— Nie.

— Nie byłeś u tej dziewczyny?

— Nie.

— Czy ona cię nie wydała?

— Nigdy.

— Może wydała się sama historia?

— Nie.

- Czy kto wie o twoim stosunku z nią?
- Nikt.
- Nikt?
- Ja nie wiem o takim, Keith.
- Czy nikt nie widział cię idącego wieczorem, wtedy, gdyś szedł do niej pierwszy raz?
- Nie. Ona mieszka na parterze i mam klucze.
- Daj mi je. Co jeszcze masz takiego, co by naprowadzało na ślad twojej z nią znajomości?
- Nie.
- Nawet w domu?
- Ani fotografii? ani listów?
- Nie.
- Bądź szczery.
- Nie.
- Nikt nie widział cię idącego do niej po raz drugi?
- Nie.
- Nikt nie widział, jak wychodziłeś rano?
- Nie.
- Masz szczęście. Usiądź no, człowieku. Muszę pomyśleć.
- Pomyśleć! Pomyśleć o tej przeklętej rzeczy — tak dalekiej od wszelkiej myśli i możności. Nie mógł myśleć. Nie mu do głowy nie przychodziło. I zaczął znów:
- To było jego pierwsze widzenie się z nią?
- Tak.
- Ona ci to mówiła?
- Tak.
- Jak on ją odszukał?
- Nie wiem.
- Bardzo byłeś pijany?
- Nie byłem pijany.
- Coś pił?
- Prawie dwie butelki czerwonego wina — nie.
- Mówisz, żeś go nie chciał zabić?
- Nie — Bóg świadkiem.
- To już coś jest. Jak wybrałeś arkadę?
- To było pierwsze ciemne miejsce.
- Czy jego twarz wyglądała tak, jak zaduszonego?
- Nie pytaj!
- Taka była?
- Tak.
- Bardzo zmieniona?
- Tak.
- Czyś nie zauważył, czy były jakie znaki na jego ubraniu?
- Nie zauważyłem.

- Dlaczego?
- Dlaczego? Mój Boże! żebyś to ty zrobił — — —
- Mówisz, że był bardzo zmieniony. Czy można by go było poznać?
- Nie wiem.
- Gdy mieszkała z nim ostatni raz — gdzie to było?
- Niewiem napewno. Zdaje się, że w Pimlico.
- Nie Soho?
- Nie.
- Jak długo już mieszka w Soho?
- Około roku.
- Zawsze w tym samym mieszkaniu?
- Tak.
- Czy mieszka kto w tym domu lub na tej ulicy, kto mógłbyś śleć, że ona była jego żoną?
- Nie myślę.
- Kim on był.
- Myślę, że on był zawodowym zawadziakiem.
- Widzę. Większą część czasu spędzał więc po za domem?
- Nie wiesz, czy był znany policji?
- Nie słyszałem o tym.
- Więc słuchaj, Larry. Pójdiesz teraz do domu i nie wyjdiesz, dopóki do ciebie nie przyjdę. To będzie jutro rano. Przrzecz mi to.
- Przrzekam.
- Jestem zaproszony na obiad. Obmyślę to. Nie pij, nie gadaj. Zamknij się sam.
- Tylko ty możesz mi pomóc, Keith!
- Ta biała twarz, te oczy, ten ucisk ręki!
- Z przebłykiem łitości po przez mieszaninę swego oburzenia, lęku i wstrętu, Keith położył dłoń na ramieniu brata i rzekł:
- Odwagi!
- Lecz nagle pomyślał: — Mój Boże! Odwagi! Mnie samemu jej brak!
- (C. d. n.).

Od 12-ej do 3-ej.

„Aresztowanie mieszkańców stolicy na zasadzie rozporządzenia Komisarza nadzwyczajnego (zawieszającego ruch uliczny między 12 a 3 w nocy), jest bezprawiem, gdyż komisarzowi nadzwyczajnemu prawo wydawania specjalnych rozporządzeń przez uchwałę sejmową z dnia 25 lipca 1919 r. zostało odjęte, minister zaś spraw wewnętrznych prawa takiego nie wydał i wydać nie miał prawa.

Tendencja do zbyt szerokiego komentowania zakresu działalności urzędników państwowych, wydających cały szereg przepisów, do czego upoważnienia nie mają, wytwarza takie położenie, iż obywateli, zamiast otoczenia się opieką organów państwowych, są przez te organy tyraniizowani bez żadnego celu wyższej polityki państwowej...

Nareszcie!

Nareszcie do tak rozumnego wniosku doszedł sąd 12 okręgu w motywach wyroku, którego odpis, w celu uniknięcia rozwoju tych anormalnych stosunków, jakoteż w celu wyjaśnienia komisarzowi nadzwyczajnemu zakresu jego praw i obowiązków, sąd postanawia przelać do Rady ministrów i do ministra spraw wewnętrznych.

Dobrá jest wróżba, jeżeli sądy zaczynają ferować wyroki, motywowane celowo i rozumnie.

TEATR.

„NIE - BOSKA KOMEDJA

Zygmunta Krasińskiego.

(TEATR POLSKI).

Gdzie nie ma wyraźnej, dobrze od pisarza zrozumianej myśli, gdzie niema prostego i miłego uczucia, tam, mimo słoty figur, nikt nie może znaleźć.

Adam Mickiewicz w liście do A. L. Odyńca, 1827 r.

Należałoby zerwać raz na zawsze z traktowaniem dzieł sztuki, jako „rzeczy samych w sobie“. Ta metoda, głęboko zakorzeniona, zwłaszcza, jeśli chodzi o literaturę polską, sprowadza krytykę na manowce błędnych dociekań oraz fantastycznych spekulacji, od których najczęściej sam autor był daleki.

„Nie - boska komedja“ Z. Krasińskiego uważana jest „za proroczą wizję przyszłości, którą genialny poeta równie genialnie przepowiedział...“

Tego rodzaju opinia jest powszechna, uchodzi za nieomylną, urbi et orbi była, a nawet i jest jeszcze, nadewszystko ex cathedra, propagowana.

Atoli zgola inne były zamiary samego autora.

Allbowiem „jest to obraz tego, na co się targa wielu hołyszów: religji i chwały przeszłości“, jak pisze Z. Krasiński w liście do Gasińskiego.

„Nie-boska komedja“ powstała w okresie, kiedy proces Wielkiej Rewolucji miał się ku końcowi. Na widowni zjawiał się stamczwarty: proletarijat, za którym szedł pogwar nowej rewolucji ideowo przygotowywanej przez saint-simonizm i fourieryzm.

Równorzędnie z tym następuje przełom w idealizmie niemieckim, prądy materialistyczne zdobywają sobie prawo obywatelstwa. Sfera religii narażona jest na ekskursy pisarzy i badania uczonych. Gutzkow za „Wally“ poszedł nawet do więzienia... W tradycje religijne uderzyło „Das Leben Jesu“ Straussa. Chemik Liebig i fizjolog Jan Müller wytoczyli przeciw wszelkiemu Swedenborgizmowi, czyli wizjonerstwu, walkę.

W takiej atmosferze powstała „Nie-boska“. Jest ona reaktywem, na nowe ówczesne prądy filozoficzne, które gwałtownie zaatakowały religię, ale zarazem i, co ważniejsze, „Nie-boska“ to nie tylko obraz chwały przeszłości, jak pisze jej autor, lecz pamflet socjo - polityczny. Próba zohydzenia nowego ruchu rewolucyjnego stanu czwartego.

Z. Krasiński, odruchowo, uczuciowo nieznosi ludu i nienawidzi wprost chorobliwie wszystkie lewice świata.

Wszystkie „linki (lewicowcy) to suzje, błazny, gałgany, łajdaki, la bande infernale (zgraja djabełska)“, jak się niejednokrotnie w listach do Cieszkowskiego wyraża. Rok 1848, to dla niego „świński wiek“¹⁾.

Bardzo mu się podoba Cavaignac²⁾, który utopił powstanie paryskie w potokach krwi i za to właśnie poświęca mu słowa uznania. Uwielbia niemal Ludwika Napoleona i gdy wsteczniectwo dochodzi do władzy, a Europa wkracza w okres reakcji, Krasiński pisze, że „coś pomyślniejszego zawiało po widnokręgu“³⁾. Przeczulony wstecznik z przekonani, które w chorobliwą manję urobiły się w nim z całokształtu sytuacji życiowej, Krasiński pisze pamflet na nurtujące owocześnie wśród społeczeństwa idee i ruchy wolnościowe.

Pamfletem tym — „Nie-boska komedja“, w której poeta „zajął stanowisko negatywne do ruchów rewolucyjnych społeczeństw europejskich“.

Wystarczy zwrócić uwagę, jak to trafnie i subtelnie uczynił Mickiewicz⁴⁾ na samo tylko imię trybuna ludu Pankracego, które w języku greckim oznacza zespół wszystkich sił brutalnych, niszczących. Pankracy sportretowany jako drewniany rezoner, przedstawia

¹⁾ List do Cieszkowskiego z Baden 16 stycznia 1849 r.

²⁾ „ „ „ z Heidelbergu 8 sierpnia 1848 r.

„ „ „ z Baden 5 stycznia 1849 r.

³⁾ „ „ „ z Rzymu 12 stycznia 1852 r.

⁴⁾ A. Mickiewicz „Les Slaves“. Paris, 1914. Str. 76, wykład z 31 stycznia 1843 r.

pulsujące w społeczeństwach owoczesnych idee utopistów socjalistycznych.

Kraśiński zaś ustami hr. Henryka zapytuje drwiąco: co dalej?

Kraśiński był także antysemitą, nienawidzącym żydów do przesady. W listach do Cieszkowskiego pełno jest zgryźliwych, niemal boleśnie utyskujących uwag na żydowskość i zażydzenie ducha europejskiego. W roku 1848 pisze, że „jest dziś żydowskiego coś w powietrzu całem...⁵⁾ Ruch rewolucyjny utożsamiał z żydowskością, bo, według niego, „w ludziach barykadowych tkwi jakiś pierwiastek żydowstwa“⁶⁾.

Bał, posunął się Kraśiński w tej awersji tak daleko, iż o Mickiewiczu pisze, że „to doskonały żyd... matka jego była żydówką, która się przechrzcila przed pójściem za mąż za ojca jego. Niezawodne! Kabała, talmud, Dawid... energia... wszystko razem! Miłość ojczyzny i wallenrodyzm... wallenrodyzm to żydowstwo“⁷⁾.

Będąc chorobliwie niemal nastrojonym w stosunku do Żydów dał Kraśiński charakterystykę narodu Izraela, jako tego, który, nienawidząc chrześcijaństwa, dąży do ruiny chrystjanizmu.

Mamy więc taką w Nieboskiej scenę:

Przechrzta.

Bracia moi podli; bracia moi mściwi, bracia kochani! Szajmy karty Talmud, jako pierś mleczną, pierś żywotną, z której siła i miód płynie dla nas — dla nich gorycz i trucizna.

Chór przechrztów.

Jehowa Pan nasz, a nikt inny. — On nas porozrzucił wszędzie, On nami, gdyby splotami niezmiernej gadziny oplótl świat czcicieli w krzyż, panów naszych, dumnych, głupich, niepiśmiennych. — Po trzykroć pluśmy na zgubę im — po trzykroć przekleństwo im.

Przechrzta.

Cieszymy się, bracia moi. — Krzyż, wróg nasz, podcięty, zbutwiały, stoi dziś nad kałużą krwi, a jak się powalił, nie powstanie twódcy. — Dotąd pany go bronia.

Chór.

Dopelnia się praca nasza wieków, praca nasza marnotna, bolesna, zawistna. — Śmierć panom! — po trzykroć pluśmy na zgubę im! — po trzykroć przekleństwo im!

⁵⁾ List Z. Kras. do Cieszkowskiego z Babilonu (posiadłość księżnej Beauvau). 13 lipca 1848 r.

⁶⁾ Tamże.

⁷⁾ Tamże.

Chór.

Na wolności bez ładu, na rzezi bez końca, na zatargach i złościach, na ich głupstwie i dumie osadzim potęgę Izraela — tylko tych panów kilku — tych kilkudziesięciu zepchnąć w dół — trupy ich przysypać rozwalinami krzyża.

Chór.

Krzyż znamię święte nasze — woda chrztu połączyła nas z ludźmi — uwierzyli pogardzający miłości pogardzonych. Wolność ludzi prawo nasze — dobro ludu cel nasz — uwierzyli synowie chrześcijan w synów Kalfasza. Przed wielkimi wroga męczyli ojcowie nasi — my go manowś dziś umęcym, i nie zmartwychwstanie więcej.

...Jehowa, Pan Izraela, a nikt inny. Po trzykroć pluśmy na zgubę ludom! — po trzykroć przekleństwo im!

Scena ta jest nervus rerum dla inspiracji „Nie-boskiej“. Wskazuje ona, iż historjografja Krasińskiego zasadzała się na poglądzie, że wszelkie rewolucje i przewroty, wogóle ruchy, skierowane przeciwko warstwie owocnie panującej, a więc szlachcie, arystokracji, są dziełem żydowstwa.

Obronę interesów klasowych Krasiński podjął w płaszczyźnie religijnej. „Nie-boska komedia“ jest pamfletem antyrewolucyjnym, który broni interesów arystokracji drogą rozbudzenia uczuć wyznaniowych, wzniesienia antysemityzmu.

Przedstawiając wszelkie dążenie do przekształcenia ustroju społeczno - politycznego za tajne dążenie żydowstwa, zwalczającego chrystjanizm, Krasiński, za pomocą zmobilizowania uczuć religijnych chrześcijan, chce bronić sprawy arystokracji, czyli warstwy, znajdującej się w okresie politycznego dekadentyzmu. Arystokracji, walczącej rozpaczliwie wszędzie w Europie o wymykającą się jej z rąk władzę, arystokracji, o której pisał Słowacki: w tych magnatach serce chore: wąż im sercem, a proch rdzenia!...

Przeciwników arystokracji należy w pamflecie zohydzić, więc Pankracy, jako trybun ludu, jest prostą marjonetką owych w szalasy zgromadzonych przechrztów.

Dlatego w końcowej scenie z ducha hr. Henryka, arystokraty, wyłania się Mściciel, wsparty na krzyżu, a od bijącej oden jasności, Pankracy umiera z okrzykiem: „Galilee vicisti!“

Taki jest „klimat ducha“, z jakiego wyłoniła się „Nie-boska“.

Artystycznie zaś jest ona kompozycją hegeljanistyczną. Teza (hr. Henryk: arystokracja), antyteza (Pankracy: lud-rewolucja — żydostwo), synteza (zwycięstwo Chrystjanizmu).

Scenicznie następcza niesłychane trudności, które w wielu wypadkach zostały przez teatr Polski udatnie pokonane, ale, doprawdy, za dużo włożono wysiłków na to widowisko, które jednak pod względem artystycznym widza nie zadawalnia.

Podziwiać trzeba dekoracje p. Drabika, które w odsłonie, przedstawiającej grób matki Orcia, dosięgły szczytu nie tylko inwencji artystycznej, ale i tego, rzecby można, mistycznego wpływu dekoracji, który zawsze powinien się udzielać widzowi. Jak ważną rolę muzyka, świadczy interpretacja muzyczna nastrojów, wywołana przez p. Różyckiego, która umożliwiła uczuciowe zrozumienie smutku wspomnień, płynącego z grobu osoby bliskiej.

Reżyserja teatru zrobiła bardzo dużo, by godnie, wspaniale wystawić dzieło Krasińskiego. Za ten wysiłek należy się jej uznanie. Byłoby wszakże daleko lepiej, gdyby „Nieboskiej“ nie wystawiano, albowiem osiągnięcie sukcesu dekoracyjnego, stworzenie malarskiej plamy scenicznej, nie jest jeszcze sukcesem scenicznym i teatralnym.

Artystycznie „Nieboska komedia“ wrażenia nie wywołuje, a nawet wywołuje efekty fałszywe, wskutek pewnego zaktualizowania kolorytu, który do dzieł tej miary nie może być przecie stosowany. Co innego „Major Barbara“, a co innego „Nieboska komedia“, która jest pamfletem wieku ubiegłego, podczas gdy armaty Szaw'ia są wymierzzone w idee oraz instytucje nam współczesne.

* * *

Nie byłem zwolennikiem gry p. Solskiej. Jednak jej kreacja żony została podbita. To była jedyna żywa, prawdziwa postać. Ale zawdzięczać to można jedynie tak wielkiej aktorce, jaką jest Solśka, której kreacja żony będzie jednym z wspanialszych brylantów w jej kolji artystycznej. Trzeba, zaiste, wielkiego wysiłku aktorskiego, żeby nie być manekinem w roli Pankracego. Zrozumiałe, że p. Chmieliński miał niezwykle trudne zadanie, znacznie trudniejsze, niż p. Brydziński, którego jaźń aktorska zgoła jest niedopasowana do typu hr. Henryka.

P. Stanisława Umińska, grająca Orcia, powinna pamiętać, że chłopiec ma inny układ nóg oraz inne gesty i załamania rąk, niż kobieta. Ruch postaci Orcia, zwłaszcza nogi i rąk (np. scena z hr. Henrykiem przy lochu) zdradza kobietę.

Wadą scen zbiorowych są pewne aktorów wykroczenia, które rzucają fałszywy refleks. W kuźni jeden z aktorów robi wrażenie powstrzymującego się od śmiechu, w scenie zbiorowej, gdy Henryk wypomina arystokracji, niewłaściwy jest uśmiech jednej z aktorek, bowiem wytwarza fałszywy ton w nastroju.

Reżyserja winna na takie, drobne na pozór, rzeczy baczejszą zwracać uwagę, bo psują one kompozycję wystawy scenicznej.

Wł. Wolert.

Kto pisze prawdę?

Trudno powstrzymać się od powiedzenia kilku słów o wysokiej kulturze i pięknie takich miast jak Toruń i Grudziądz. Są to pod względem ładu wewnętrznego i architektury prawdziwe perły.

Szczególniej piękne są w Toruniu i Grudziądzu kościoły, sięgające trzynastego wieku.

Andrzej Niemojewski.

(Myśl Niepodległa Nr. 484, dnia 31 stycznia 1920 r.).

Grudziądz...

A mury? Pożał się, Boże! Domy bez stylu, bez wyrazu, berlińska tandeta, najtańsza!

Nie masz tu tych myśli ludzkich wmurowanych w kształt monumentalny, tych tumów starych, gdzie w ciemnym kącie można się zamyśleć, tych naw głębokich, gdzie można z Bogiem rozmawiać.

Edward Słoński.

(Świat, Nr. 6 z dnia 7 lutego 1920 r.).

Skoro publicystyka polska wydaje w jednym czasie opinie djamentalnie różne, jeżeli chodzi o stwierdzenie faktu, to co się dzieje, jeżeli ci publicyści wydają sądy?

Romain Rolland.

Świat idei.

Wolności!

Wojna pokazała nam, jak bardzo są kruche skarby naszej cywilizacji. Ze wszystkich naszych dóbr, to, z którego byliśmy najbardziej dumni, okazało się najmniej odpornem: Wolność. Wieki ofiar, cierpliwych wysiłków, cierpienia, bohaterstwa i gorącej wiary zdobyły ją powoli, wdychaliśmy jej złoty podmuch; zdawało się nam, że równie naturalnem jest oddychanie nią, jak oddychanie wielką falą powietrza, przepływającą nad ziemią i oblewającą wszystkie piersi... Kilku dni wystarczyło, by odebrać nam ten klejnot; kilku godzin wystarczyło, by po przez całą ziemię rozciągnęła się dławiąca sieć na drżeniu skrzydeł Wolności. Narody ją wydały. I przyklasnęły swemu niewolnictwu. Oto znów powróciliśmy do starożytnej mądrości: „Nie nigdy nie jest zdobyte. Wszystko się co dzień na nowo zdobywa, lub traci“.

O, zdradzona Wolności, zwiń w naszych wiernych sercach, zwiń twe zranione skrzydła. Przyjdzie dzień, gdy podejmą one swój piękny lot. Będiesz wówczas znów bożyszczem tłumu. Wówczas ci, którzy ci ciemieją, chwalić się tobą będą. Lecz w oczach mych nie byłaś piękniejszą nigdy, niż w tych dniach nędzy, gdy widzę cię ubogą, nagą i umęczoną. Twe ręce są puste; tym, którzy cię kochają, dać możesz jeno niebezpieczeństwo: uśmiech twych dumnych oczu. Lecz wszystkie dobra świata niczem są wobec tego daru. Lokaje opinii, dworacy powodzenia nam go nie zaprzeczają. I pójdziemy za tobą, Chrystusie, obrzucany obelgami, z podniesionym czołem: gdyż wiemy, że z gnobu zmartwychwstanieś.

Kochani sprzymierzeńci.

Z łopotał i and ań świąt i dzięków:

Przyprowadzają do obozu generała **Denikina** świeży transport jeńców bolszewickich. Rozpoczyna się ich staranne segregowanie. Najpierw oddzielają **rekrutów**, świeżych żołnierzy. Tych wiele się do szeregów armii kontrrewolucyjnej. Potem wybiera się „**ideowców**“. Ustawia się ich w grupę i przy pomocy karabinów maszynowych masakruje masowo. Wreszcie osobno traktuje się **żydowskich** żołnierzy bolszewickich. Tym każe się kłękać na ziemi i na komendę: „**Jedźcie ziemię!**“ ścina się im głowy szablami. Najoryginalniejszą (!) śmierć obmyślił Denikin dla osób — jeżeli tak powie — dzieć wolno — „**dystygowanych**“. Tych wiesza się za nogi. W ten sposób zginął młody **Brusiłow**, syn znanego generała, jako wyznawca zasad komunistycznych. Stary Brusiłow ofiarował w odpowiedzi na to swoje usługi — bolszewikom. Ludzie szczupli męczą się na szubienicy długie godziny, otyli giną rychło...

Dwie uwagi warto dodać do tych okropności.

Oto wtórując nadziejom Anglii na zwycięstwa tegoż generała **Denikina** i pod wpływem tych nadziei, polski minister spraw zagranicznych, p. **Paderewski**, mówił o potężnej i sprawiedliwej Rosji, która ma powstać. A mówił z serc endeków sejmowych.

Druga uwaga odnosi się do filantropów angielskich, którzy na wieść o pogromach w Polsce, wysłali p. **Samuela**, aby je badał, sami zaś dali, — wedle relacji urzędowej — **Denikinowi**, **Koleżakowi** i **Judeniczowi** 100 milionów funtów, tj. **40 miliardów marek** dla pobicia bolszewików, zaopatrywali ich w ochotników, mundury, amunicję, broń, tanki, żywność i t. d., chociaż doskonale byli poinformowani o „cywilizacji“, jaką reprezentują ci generałowie.

Bo w oobzie Denikina, Judenicza i Kołczaka nioło się od angielskich mężów zaufania.

A co też powiedzą na to polscy sjonisiści, którzy zanoszą skargi do Anglii na Polskę, a milczą zawzięcie wobec strumieni krwi żydowskiej, przelewanej na Ukrainie, nile będącej pod panowaniem Polski?

Kronika gospodarcza.

Rosja Sowieków w świetle bolszewików.

Na zasadzie informacji podawanych przez „Ekonomičeskuju Żiźń“ (od dnia 16 września do 15 października r. ub. Nr. od 205 do 270), oficjalny organ rządu sowieków, ściślej zaś: Rady Naczelnej Ekonomii Narodowej i trzech komisariatów (ministerjów) — skarbu, przemysłu i handlu oraz aprowizacji — Kierenskiij napisał obszerny artykuł w piśmie paryskim eserów „Pour la Russie“, oświetlający sytuację gospodarczą Rosji. Autor pisze, że materiały podawane przez „Ekonomičeskuju Żiźń“ zostały przez niego uporządkowane pod kilku rubrykami i ogłasza je tak, jak są podane do wiadomości w tym oficjalnym organie, ograniczając się jedynie do zaopatrzenia ich w objaśnienia i uwagi.

I. Transporty i paliwo.

1) W miesiącach sierpniu i wrześniu na ogólną liczbę 7.600 — 7.500 wagonów, które dziennie są naładowywane na całej sieci dróg żelaznych w Rosji sowieckiej, 45 do 50% (3.500 do 3.700 wagonów) transportowały drzewo na opał dla kolei żelaznych, z uszczerbkiem innych ładunków; 25% (1.750 do 1.850) było zajętych pod przewóz materiałów wojennych, 10% (700 do 750) obsługiwały ewakuację, 15 do 20% (1.050 do 1.150) przewoziły **wszystko inne**. (Nr. 125 „Ekonomičeskoj Żiźni“). I w tym „innem“ 1.000 wagonów naładowane było drzewem opałowym. (Nr. 229).

2) Na całej sieci dróg żelaznych 50% lokomotyw jest uszkodzonych; ilość ta może być w sprzyjających warunkach sprowadzona do wysokości normalnej (10 do 15%) w przeciągu 5-ciu lat (Nr. 228).

3) Przywrócono premja kilometryczne, wypłacane maszynistom za dokonane oszczędności; nad premjami za oszczędność paliwa dyskusja się przeciąga.

4) „W r. 1913 przewieziono Wołgą ogółem miliard pudów towa-

rów; w 1919 r. ogólna suma wynosiła 110 milionów, t. zn. 11% cyfry przedwojennej". (Nr. 207).

5) W porównaniu z r. 1917 ogólna ilość statków, i t. d. żeglugi rzecznej zmniejszyła się o 30%. (Nr. 224).

6) Dla przewożu zboża i paliwa używane są samochody ciężarowe. W okręgu Buzuluku i Achtiubińska organizowana jest służba 6.000 samochodów ciężarowych dla drzewa na opał i 10.000 wozów dla zboża. Projektowana jest analogiczna organizacja transportowa w innych miejscowościach. (Nr. 228).

7) Zapas paliwa na okres październik — grudzień jest następujący: płynne paliwo 2,7 milionów pudów (55% ilości potrzebnej); węgiel wydobywany w okolicach Moskwy: 3,6 milionów pudów; drzewo na opał dla kolei żelaznych (na październik i listopad!): 240.000 sążni kwadratowych; drzewo na opał dla wszystkich innych celii: 600.000 sążni kwadratowych (33% ilości potrzebnej); a więc potrzeba jeszcze przeszło 4 miliony pudów ropy naftowej, 3,8 milionów pudów węgla wydobywanego w okolicach Moskwy i 1.800 tysięcy sążni kwadratowych drzewa. (Nr. 221).

8) Ilość wydobywanego węgla w okręgu moskiewskim spadła w stosunku do roku 1917, który pobił wszystkie rekordy. Okres marzec — październik 1917 r., w porównaniu (w ciągu pierwszych dziesięciu miesięcy) dał mniej o 45.7% (Nr. 228). W porównaniu z latami 1916 i 1918/19 był on jeszcze świetny pod względem wykonania ogólnego planu aptrowidowania: transportów koleją, dostarczania paliwa i t. p.

9) Rada komisarzy ludowych pozwoliła w roku bieżącym wycinać lasy na przestrzeni 675.000 hektarów, zajmujących pas ziemi szerokości 10 kilometrów wzdłuż kolei żelaznych i rzek, które mogą dopomóc w transportowaniu. Z wyrobów, na które dano pozwolenie w 1918 r., 70% nie zostało wykonane. (Nr. 215).

10) Kancelaria Rady naczelnej Ekonomiji narodowej ustaliła, że jest rozporządzalnych ogółem (nie licząc paliwa przeznaczonego dla kolei) 32.000 wagonów opału na miesiąc. W tej liczbie 14.500 wagonów jest przeznaczone dla Moskwy, 7.750 dla Petrogradu, 9.700 dla prowincji. „Jest to dla nas (dla Moskwy), brzmi sprawozdanie z posiedzenia Rady, zaledwie porcją głodową, zapewniają tylko funkcjonowanie małych przedsiębiorstw. Większość dużych będzie bezczynna; mała ilość paliwa zostanie poświęcona na utrzymanie maszyn i budynków fabryk Prochorowa i Zindla (przemysł włókienniczy), najlepszych w Europie. Zostało postanowione zawieszenie ruchu tramwajowego (Nr. 229).

Jak widać z powyższego, po dwuletnich rządach sowieków Rosja znalazła się bez opału, umarodowione statki wykonywują zaledwie jedną dziesiątą swej pracy normalnej. Ruch w kraju został wstrzymany. Takie jest rezultat listopadowego zamachu stanu, po którym

spodziewać się można końca całej „proletarjackiej rewolucji“. Od ropy i nafty „bolszewicka“ Rosja powróciła do drzewa i pochodni, od lokomotyw i okrętów parowych do prób zorganizowania transportów „wozami“ w celu zaopatrzenia miast w żywność, jak w dawnych czasach niewolnictwa Rosji. By utworzyć te dostawy, trzeba „zmobilizować środki transportowe wiejskie“ (Nr. 228), to znaczy, znów wskazać się znienawidzony przez włościan obowiązek dostarczania podwód. By przedłużyć choć trochę agonję miast ginących z zimna, rząd sowiecki ucieka się do środków, które, jeśliby zostały wykonane, zamieniłyby w pustynię i bagna setki tysięcy pól uprawnych; mówimy o pozwoleniu wycinania drzewa **bez przerwy** wzdłuż rzek spławnych; na szczęście wysoki bardzo procent (70%) wyrębów niedokonanych, dowodzi, że jakkolwiek panowie komisarze ludowi mają „bezsensowne porywy“, nie sążone im jest ich urzeczywistnienie.

(c. d. n.).

Nadesłane do redakcji.

K S I A Ż K I:

Mémoire des Slovaques à la Conférence de la Paix.
Str. 16.

Stanowisko tego memoriału, przygotowanego na konferencję pokojową, jest następujące: Niema narodu czesko-słowackiego, lecz są Czesi i są Słowacy. Nie jesteśmy Czechami, ani Czecho-Słowakami. Jesteśmy Słowakami i chcemy Słowakami zostać. To wszystko.

TREŚĆ N-ru 7: Morze polskie. — Jak powstrzymać spadek marki I. (Edward Lipiński). — Amerykanin o polityce niemieckiej (M—or). — Wiara w przyszłość (Dr. Z. Daszyńska-Golińska). — Witezie giną (świętisz Zofii Wojnarowskiej). — Pierwszy i ostatni (John Galsworthy). — Od 12-ej do 3-ej. — Teatr: „Nie-boska komedia“, Z. Krasińskiego (Wł. Wolert). — Kto pisze prawdę. — Świat idei: Romain Rolland. — Wolności! — Kołhami sprzątnięcie. — Kronika gospodarcza: Rosja sowieków w świetle bolszewików. —

Nadesłane.

Administracja otwarta codziennie od g. 10—3 popoł. Redakcja od g. 3—4 pp.

Wydawca: Spółka wydawn. „Trybuna“.

Redaktor odp.: Wład. Wolert.

Odbito w drukarni „ROBOTNIKA“, Warecka 7.